

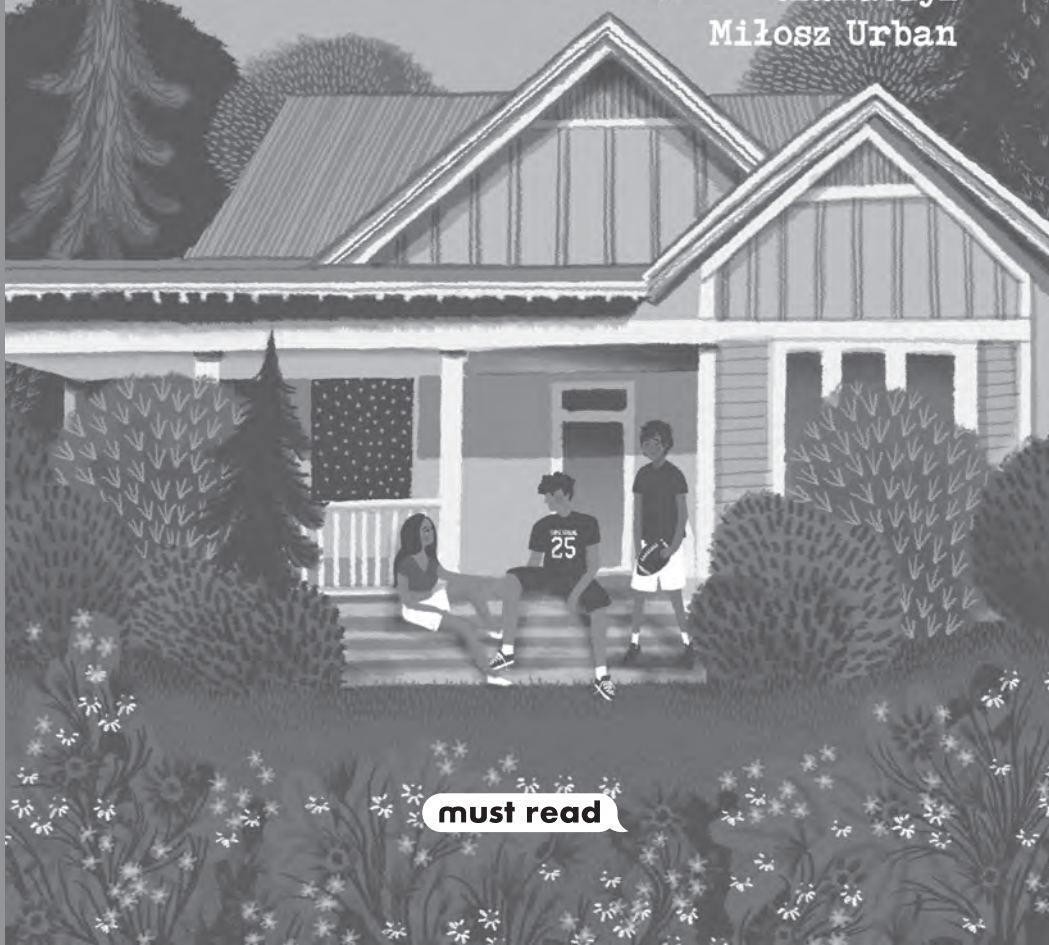
WTEBY
i TERAZ



E M M A M I L L S

WTEDY i TERAZ

tlumaczył
Miłosz Urban



must read

Tytuł oryginału *FIRST&THEN*

Copyright © 2016 by Emma Mills

Copyright © 2025 for the Polish translation

by Grupa Wydawnicza Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt okładki Mallory Grigg

Ilustracje na okładce Jane Newland

Adaptacja okładki, skład i łamanie Radosław Stępiak | **SRSLY**studio.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-68242-34-8

2025.1

Must Read jest imprintem

Grupy Wydawniczej Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Poznańska 102, 60-185 Skórzewo

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

Grupa Wydawnicza Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.



**Dla mamy, taty,
Hannah i Davida**



ROZDZIAŁ

— 1 —

Mój szkolny esej, któremu nadałam tytuł „Szkolne obiady, TS High i ja”, był tak straszny, jak można się było spodziewać.

Pani Wentworth czytała, a ja wpatrywałam się w plakat, który wisiał na ścianie za jej biurkiem. Było to zdjęcie w stylu „National Geographic” przedstawiające kilka lwów na sawannie. Jedno ze zwierząt stało na pierwszym planie i wyglądało wyjątkowo majestatycznie. Złote promienie słońca rozświetlały jego grzywę. I podczas gdy pozostałe lwy rozrzucone w tle wyglądały na zajęte sobą, ciemne oczy tego w centrum skierowane były prosto na mnie. Pod zdjęciem dużymi literami zapisane zostało słowo SUKCES.

Rozumiałam oczywiście przekaz całości — miałam poczuć inspirację. Choć tutaj pojawiały się pierwsze wątpliwości — inspirację do czego? Miałam biegać szybciej? Zabijać więcej gazeli? Czy być lepsza niż te leniwe drapieżniki w tle?

Pani Wentworth w końcu odchrząknęła.

— Szkolne obiady — powiedziała jedynie.

Choć nie zapytała, w jej tonie wybrzmiało niewypowiedziane „dlaczego?”.

— Zgodnie z poleceniem miałam napisać pracę na dowolny temat dotyczący mojego życia. A w życiu zjada się dużo szkolnych obiadów, prawda?

— Rozumiem, że to... szkolne jedzenie... nadało twojemu życiu jakiś głębszy sens?

— No cóż, pamiętam purée ziemniaczane, które bardzo mnie wzruszyło. Zupełnie serio.

W kąciakach jej ust zauważyłam coś dziwnego, jakieś powstrzymywane drżenie, jak gdyby w śmiertelnym pojedynku zwały się tam uśmiech i zrezygnowane westchnięcie.

— Devon, musiałabyś naprawdę poważnie się do tego przyłożyć.

Mówiąc to, miała pewnie na myśli coś w rodzaju: idź do domu i napisz esej o zmarłym krewnym albo znalezionym pisklaku, którego uratowałaś przed śmiercią, kiedy byłaś mała, albo o uczestnictwie w misji stawiania domów w Guadalajarze. Tylko że nie miałam do tego serca. No i nigdy nie byłam w Meksyku.

Ale wtedy powiedziała coś, co mnie zaskoczyło.

— Nie zrozum mnie źle — zaczęła. — Nie chodzi mi o temat twojego eseju, ale o sposób, w jaki go napisałaś. Bo spokojnie mogłaś wybrać taki temat i w pełni go wykorzystać. Mogłaś napisać z dowcipem, zaprezentować nowy punkt widzenia i porwać czytelnika. Tymczasem twój esej czyta się tak, jakbyś pisała go w przerwie na reklamy.

To mnie zabolalo. Poświęciłam na niego przynajmniej cztery takie przerwy.

— Jak dużo wysiłku naprawdę włożyłaś w to zadanie?

Hm, to nie tak, że w ogóle się nie starałam. Ba, przyłożyłam się do niego tak bardzo, że nawet ułożyłam sobie w głowie jego plan, obudowując go zdaniami w stylu Jane Austen. Jane była moją ulubioną autorką, całkowicie bezkonkurencyjną, i wiedziałam, że prawdziwa historia mojego życia byłaby opowiedziana właśnie jej stylem.

Jane nigdy nie bała się mówić prawdy o ludziach. Miałam wrażenie, że poznałam ją poprzez jej książki i dowiedziałam się, jakim była człowiekiem — kimś, kogo mogłabym bardzo polubić. Kimś, kto widzi ludzi takimi, jacy są naprawdę, kto w najbardziej elegancki sposób potrafi przejrzeć każde kłamstwo. Jane powiedziała by wszystko wprost.

Niestety, eseje zaliczeniowe do college'u pisane prosto z mostu nie były chyba szczególnie pożądane. *Panna Devon Tennyson wyraża chęć studiowania na Państwa uczelni pomimo faktu, że jest do bólu przeciętna.*

Oczywiście nie mogłam powiedzieć tego wszystkiego pani Wentworth. Nie spodziewałam się, żeby zrozumiała, dlaczego uspokaja mnie patrzanie na świat oczyma Jane Austen. Nie zdołałaby pojąć satysfakcji, jaką dawało mi wyobrażanie siebie w roli wyjątkowej panny Devon Tennyson w przeciwieństwie do zwyczajnej Devon Tennyson — zwyczajnie nudnej.

Milczałam, więc pani Wentworth odłożyła mój esej na biurko.

— Devon, musisz się zdecydować. Czeka cię dużo pracy, jeśli poważnie myślisz o studiach. Wyniki masz niezłe, ale zdecydowanie brakuje ci zaangażowania w zajęcia dodatkowe. Czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę?

Krótki epizod menedżerki żeńskiej drużyny biegów przełajowych. Jedna nieudana próba wejścia do komitetu organizacyjnego szkolnego balu. Jedna — niema — rola w tradycyjnym dorocznym bezczeszczeniu *Pięknej i Bestii*. Tak, oczywiście, że zdawałam sobie z tego sprawę.

Miałam ochotę zaznaczyć, że przecież zapisałam się do klubu założonego przez panią Wentworth — Klub Drogi

do College'u — ale po pierwsze, nie miałam alternatywy, a po drugie, jak dotąd byłam jedyną jego członkinią. Dlatego tylko potaknęłam, starając się wyglądać na zatroskaną.

— Wciąż jeszcze masz czas. Wprawdzie jest dopiero sierpień, ale zanim się obejrzysz, na horyzoncie pojawią się deadline'y. Wyraziłaś zainteresowanie czytelnictwem, ale należałoby rozważyć różne opcje. Jeśli są jakieś inne szkoły, nad którymi się zastanawiasz, może dobrze byłoby je odwiedzić.

— Odwiedzić? — Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie i panią Wentworth, jak w jakimś nieciekawym pokoju motelowym spieramy się o jednorazowy czeppek pod prysznic.

— Nie możesz podejmować świadomych decyzji, nie mając pojęcia, co naprawdę wybierasz — wyjaśniła nauczycielka. — Nie kupiłabyś przecież sukienki bez przymierzenia jej, prawda?

Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć: „Chyba że kupowałabym ją w sieci”, i jedynie potrząsnęłam głową.

To nie myśl o wizytach w college'ach budziła moje obawy. Nie byłam zachwycona samą ideą Klubu Drogi do College'u w przeciwieństwie do mamy, która podała mi ulotkę ze słowami: „To chyba będzie dobry wybór dla ciebie”, a ja pomyślałam, że Klub Drogi do College'u jest równie antypatyczny jak brokuły i krem z filtrem.

Może i byłby dla mnie dobry. Ale to nie oznaczało, że muszę go lubić.

— Czy interesujesz się jakimiś kierunkami w szczególności? — drążyła dalej pani Wentworth.

— Nie, raczej nie.

Domyślałam się, że odpowiedź: „Zachodnim i południowozachodnim” stałaby się gongiem do kolejnej rundy zmagañ uśmiechu z westchnieniem.

Tyle że tym razem uśmiech nauczycielki przegrałby z krete sem.

— No dobrze. To znaczy, że masz kilka kwestii do przemyślenia. W tym tygodniu zajmij się, proszę, wyborem zajęć dodatkowych. Dołącz do jakiegoś klubu. Może załóż własny? Jeszcze nie jest za późno, żeby się w coś włączyć i zaangażować.

Hm. Brzmiała jak ulotka motywacyjna. Powstrzymałam się, żeby nie przewrócić oczyma i jedynie niezobowiązująco pokiwałam głową.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Byłam pewna, że powie, że mam sobie iść, lecz kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że pani Wentworth przygląda mi się, mrużąc oczy.

Miała na imię Isobel. Obiektywnie rzecz biorąc, nie była jeszcze w podeszłym wieku, lecz jak na standardy szkoły średniej zaliczała się do staruszków. Nosila wzorzyste swetry i długie, bezkształtne, kwieciste spódnice. Jednak jej oczy były przepiękne, okolone długimi, gęstymi i ciemnymi rzęsami, a ich tęczówki miały intensywny kolor, z całą pewnością tak samo zielony jak wtedy, kiedy była w moim wieku. Wyobrażałam sobie, że musiała być bardzo popularną dziewczyną w szkole. Wszyscy chłopcy się za nią uganiali, proponowali podwiezienie do domu i mówili, że wygląda jak modelka z magazynu. A ona wybuchała wtedy śmiechem, odgarniała ciemne, kręcone włosy i nawet przez myśl jej nie przechodziło,

że nadejdzie kiedyś czas, że zostanie panią Wentworth i będzie troszczyła się o to, co jakaś nieznosna dziewczyna napisała w eseju, żeby dostać się do Reeding University.

— Devon — powiedziała, a jej głos brzmiał bardziej jak głos Isobel niż pani Wentworth. — Czy ty w ogóle chcesz iść do college'u?

Nigdy wcześniej nikt mnie o to nie zapytał. College był naturalną kolejną rzeczą. Zgodnie ze światopoglądem moich rodziców znajdował się gdzieś między narodzinami a śmiercią.

— A co innego mogłabym robić?

— Mogłabyś wstąpić do wojska — odpowiedziała krótko nauczycielka.

Skrzywiłam się.

— Źle znoszę, kiedy ktoś na mnie krzyczy.

— To do Korpusu Pokoju.

Z mojego gardła wydobył się zduszony dźwięk, który brzmiał jak dławiący się kot.

— Nienawidzę bezinteresowności.

— No dobrze. — W kącikach ust pani Wentworth znów pojawiło się znajome drżenie. — Znajdź sobie pracę.

— Znaczą, miałabym iść do roboty? Tak po prostu?

— Wiele osób tak robi. Niektórzy odnoszą w życiu wielkie sukcesy, mimo że nie poszli do college'u.

— Niby tak. Wystarczy popatrzeć na Hollywood.

— Sama to powiedziałaś. Jedź do Hollywood. Zostań gwiazdą.

— Ale ja nie potrafię grać. Ja nigdy w żadnym przedstawieniu nie dostałam nawet jednej kwestii!

— To dołącz do kółka teatralnego.

— Już to widzę. Członkini chóru numer dwanaście — moja przepustka do sławy.

— Dlaczego nie?

— Bo po pierwsze, powinno się lubić robić takie rzeczy, a ja nie lubię, a po drugie, trzeba być w tym dobrym, a ja nie jestem.

— A w czym jesteś dobra?

— Nie wiem. Chyba w niczym.

— Jak coś takiego w ogóle przyszło ci do głowy?

Nie potrafiłam jej tego wyjaśnić; nie bez pomocy Jane. Te zawile frazy, z których korzystała, by nawet nieprzyjemnym wiadomościom nadać błysk elegancji. Jane napisałaby, że byłam wewnętrznie niespełniona. Boleśnie przeciętna. I spektakularnie... niewystarczająca, szczególnie w sytuacjach takich jak ta. Gdy trzeba było stawić czoło SUKCESOWI zapisanemu wielkimi literami.

Bo jeśli prawda była taka, że po prostu nie miałam tego w sobie? Jeśli w głębi duszy byłam tylko jednym z tych lwów w tle?

— Każdy jest w czymś dobry — odezwała się pani Wentworth po chwili milczenia. — Znajdziesz swoją niszę. A wiesz, gdzie najlepiej zacząć szukać?

— W college'u?

— Proszę, świetnie zgadujesz, a to już coś.

Uśmiechnęłam się słabo.

— Myślę, że jesteś idealną kandydatką do college'u. Nie myśl, że próbuję ci coś wyperswadować. Chciałabym tylko usłyszeć, dlaczego chcesz kontynuować edukację.

— Przez moich rodziców — wyjaśniłam krótko.

Dlaczego nie zapytała o to zaraz na początku?

— Żeby przed nimi uciec?

— Żeby mnie nie zamordowali.

Kącikami jej ust poruszyło wyjątkowo mocne drżenie.

— Chciałabym, żebyś zaczęła się angażować — powiedziała, odkładając esej do mojej teczki, która, jeśli nie liczyć pogniecionej kartki pocztowej z Reeding University, którą pokazałam jej na pierwszym spotkaniu, była zupełnie pusta. — Spróbuj jeszcze raz napisać tę pracę. Wiesz co? Skoro i tak do tego wracasz, możesz przedstawić historię swojego życia. — Ponownie się skrzywiłam. — W porządku, rozumiem. Zacznijmy od małych kroczków. Dobrego dnia, Devon.

— Do widzenia — pożegnałam się i wyszłam z jej gabinetu.

Po naszym spotkaniu poszłam w stronę boiska do futbolu, zastanawiając się nad tym, co usłyszałam od pani Wentworth. Przede wszystkim myślałam o eseju — pracy na temat historii mojego życia. Wyobrażałam sobie, jak opisuję siebie w jakiejś organizacji dobroczynnej: bohaterska Devon, przedzierająca się przez dżungle i pokonująca pustynie, szukająca okazji, by poświęcić się dla dobra innych. Ci goście z college'ów czekali na taki szajs — spektakularną bajkę o niepokalanej oryginalności, wsuniętą między arkusz z ocenami i wynikami testu ACT. *Proszę podać liczbę godzin poświęconych na pracę wolontariacką oraz dokładną datę swojego wyjątkowego tryumfu nad przeciwnościami losu.*

Czułam się, jakbym nigdy niczego nie zrobiła. Nigdy nie cierpiała. Nigdy nie odniosła zwycięstwa. Byłam przeciętnym dzieciakiem z przedmieść zamieszkałych przez klasę średnią, która, jeśli coś osiągnęła, to tyle, że przez ostatnich siedemnaście lat życia udało jej nie wypaść z przeciętności. A czego potrzebowałam? Wybicia się ponad nią.

— Wasz klub studenciaków wcześniej skończył zajęcia?

Gdziekolwiek się udałam, Foster zawsze potrafił mnie znaleźć.

Do minionych wakacji Foster był jednym z tych kuzynów, których widuje się raz do roku z okazji jakiegoś święta. Jego rodzina mieszkała w Kalifornii, my na Florydzie, i to był idealny układ, z idealnym natężeniem spotkań z Fosterem. Ale kilka rzeczy się zmieniło i w tej chwili zmagalam się z trudnym do zniesienia stężeniem Fostera w moim życiu.

Rzucił swój plecak na ziemię i, jakby nigdy nic, usiadł obok mnie na trybunach.

— Wasz klub idiociaków wcześniej skończył zajęcia? — zapytałam.

Patrzył na mnie przez chwilę.

— A, łapię. Nazwałem cię studenciakiem, więc ty nazwałeś mnie idiociakiem. Sprytnie.

Popatrzyłam na boisko, częściowo po to, żeby nie musieć mu odpowiadać, ale też dlatego, że zaczynał się właśnie trening i to był mój ulubiony moment. Wszyscy zawodnicy ustawiali się w kółku, żeby zrobić rozgrzewkę. Najbardziej podobały mi się pajacyki i to, jak razem wykrzykiwali na głos kolejne wykonane powtórzenia. Nie było widać ich twarzy, bo mieli już na sobie sprzęt i ochraniacze, ale Casa

Kincaida rozpoznałabym wszędzie. Jego pajacyki zawsze były na pół gwizdka.

Foster nie lubił Casa, a ja nie lubiałam Foster. Pewnie powinnam mieć dla niego trochę współczucia, ale chłopak nie potrafił powiedzieć niczego jak człowiek. Czasem wyobrażałam sobie, że gdyby ziemia się otworzyła i pochłonęła w całości nasz dom, on dalej stałby na chodniku i zajmował się wybieraniem piosenek na iPodzie.

— Czego się uczycie w tym klubie studenciaków?

— Przestań nazywać go klubem studenciaków.

W sumie, właściwa nazwa — Klub Drogi do College'u — nie była wiele lepsza.

— To ty przestań nazywać mój klub klubem idiociaków — postawił się Foster.

Na ironię zakrawał fakt, że jeśli któremuś było bliżej do klubu studenciaków, to właśnie jego klubowi. Na zajęciach organizacyjnych dla freshmenów, czyli uczniów pierwszych klas, Foster zapisał się do Klubu Przyszłych Rewolucjonistów Naukowych Ameryki. Spotkania odbywały się co dwa tygodnie, a uczestnikami byli genialni uczniowie, którzy lubili budować roboty albo uczyć się na pamięć liczby pi do jak najodleglejszego miejsca po przecinku. Podejrzewałam, że każdy z nich już jako freshmen dostałby się do większej liczby college'ów niż ja jako seniorka, czyli uczennica ostatniej klasy szkoły średniej.

Głośne zbiorowe odliczanie ustało i drużyna przeszła do kolejnego ćwiczenia. Foster podążył za moim spojrzeniem i popatrzył na boisko, a dokładniej na Casa.

— Nie czujesz się głupio, ciągle za nim łążąc? — Nie odpowiedziałam, ale też nie za bardzo go słuchałam. — Nie czujesz się głupio, siedząc tu i czekając, aż skończy? — zapytał powtórnie po chwili wiercenia się na swoim miejscu. Nie mógł po prostu wytrzymać.

— Dlaczego miałabym czuć się głupio?

— Bo on nie siedzi i nie czeka na ciebie, kiedy skończysz zajęcia. Nie wolałabyś chłopaka, który na ciebie czeka?

— Cas nie jest moim chłopakiem. Jesteśmy przyjaciółmi.

— To dlaczego zamykasz drzwi do pokoju, kiedy do ciebie przychodzi?

— Żebyś do nas nie włąził.

— Chcesz powiedzieć, że nie uprawiacie tam seksu?

— Nie! — Zgromiłam Fostera wzrokiem. Byłam święcie przekonana, że był najdrobniejszym, najbardziej niedojrzałym czternastolatkiem w całym stanie, z dużą szansą na ten sam tytuł w skali globu. — Nie. Nikt nigdzie nie uprawia seksu.

— Mogę się założyć, że są ludzie, którzy w tej chwili uprawiają seks. Na całym świecie. Jestem pewien, że miliony ludzi właśnie teraz to robią. W Europie jest noc. A ludzie częściej uprawiają seks w nocy, prawda?

— Przestań mówić o seksie, Foster.

— Dlaczego? Czy czujesz się przez to niekomfortowo? Czy Cas sprawia, że czujesz się niekomfortowo? Mogę go uderzyć, jeśli chcesz. Wiem, jak kogoś uderzyć.

— Żadnego bicia, Foster. I żadnego gadania. Pomilczmy trochę, dobrze? Pobawmy się w ciszę na morzu.

— Okay. — Foster uważał się za mistrza tej gry. Ja z kolei byłam na tyle duża, żeby wiedzieć, że mama wymyśliła ją, aby zmusić mnie do trzymania buzi na kłódkę, kiedy byłam mała. On miał już tyle lat, że też powinien zdawać sobie z tego sprawę.

— Tylko czekaj. Przyjeżdża po ciebie tata? Bo ja nie jadę do domu z Casem. On capi.

— Ty capisz.

Chwila ciszy.

— Wiem, co zrobiłaś.

— Cisza na morzu, Foster — westchnęłam ciężko.

— Ty pierwsza.

Przesunęłam dłońią po ustach, jakbym je zaszywała, on zrobił to samo i na chwilę zapanował spokój.

Spokój trwał przez całą drogę do domu, mimo że przywitałam się z tatą, co, formalnie, oznaczało przegraną.

— Jak było w szkole? — zapytała mama wieczorem. Stała z jedną dłonią wspartą na biodrze, a w drugiej trzymała drewnianą łyżkę i mieszała nią w garnku sos pomidorowy. Foster leżał zwinięty przed telewizorem, a tata siedział w swoim gabinecie. W domu panowała cisza przerywana jedynie cichym bulgotaniem sosu i odgłosami telewizora.

— W porządku. — Zabrałam się do nakrywania do stołu, bo wiedziałam, że i tak mnie o to poprosi.

— A jak Foster?

Co miałam odpowiedzieć? Nienawidziłam takich pytań, bo brzmiało, jakby mama chciała usłyszeć jakiś konkretny opis, na przykład pogody. Dzisiaj Foster był lekko zachmurzony, z lekkimi opadami.

— Chyba też w porządku — odpowiedziałam i z szafki wyjęłam serwetki. Wciąż jeszcze nie przyzwyczaiałam się do nakrywania dla czterech osób zamiast dla trzech.

— Czy myślisz... — starała się brzmieć, jakby ją to naprawdę interesowało. — Czy myślisz, że się tu odnajdzie?

— To był dopiero trzeci dzień.

— Ale myślisz, że znajdzie jakichś znajomych?

— Nie mam pojęcia — skłamałam. — Za bardzo się nie widzimy.

Znów skłamałam. Wiedziałam, że nie nawiązuje nowych znajomości, bo gdyby to robił, nie próbowałby spędzać tyle czasu ze mną.

— A zajęcia sportowe?

Wychowanie fizyczne nie należało do zajęć obowiązkowych w pierwszych dwóch latach szkoły średniej, ale teraz musiałam je zaliczyć, więc czekały mnie dwa semestry sportu w roli jedynej seniorki w grupie naładowanych hormonami freshmenów; grupie, do której zaliczał się również mój kuzyn Foster. Nienawidziłam sportu i nie przepadałam za pierwszoklasistami, więc wuef był dla mnie skazą w skądinąd eleganckim planie lekcji najstarszego rocznika w szkole.

— Mieliśmy dopiero jedno zajęcia — westchnęłam.

— No i jak było?

— Pan Sellers powiedział nam o obowiązku noszenia stroju sportowego i o dyscyplinach, które będziemy trenować w tym roku. To wszystko. — Mama otworzyła usta, żeby znów o coś zapytać, ale ją uprzedziłam. — Na tyle, na ile go widziałam, to nikt go nie popycha, nie dręczy, nie

przeżywa ani nie traktuje inaczej, niż traktuje się wszystkich pierwszaków w szkole średniej.

To chyba zaspokoilo jej ciekawość, choć spodziewałam się, że tylko na jakiś czas. Dlatego szybko dokończyłam układanie sztućców i pobiegłam na górę do swojego pokoju, żeby nie zasypała mnie kolejnymi pytaniami.

Tego wieczoru, zanim poszłam spać, zadzwoniłam do Casa. To była jedna z moich ulubionych rzeczy — zwinąć się pod kołdrę z telefonem przyciśniętym do ucha, wiedząc, że równocześnie z zakończeniem połączenia mogę zasnąć.

— Numer cztery — słyszałam jego głos po drugiej stronie. — Z pepsi i — właśnie, Dev, przypomnij mi, żebym opowiedział ci o treningu — bez ogórków. I dodatkowy keczup.

Cas zwykle nie był w stanie skupić się na tylko jednej rozmowie. Ale nie można było mieć mu tego za złe, bo on po prostu łaknął bezustannego zaangażowania — kipiał zainteresowaniem wszystkimi i wszystkim. Gdy naprawdę potrzebowałam go jako przyjaciela, był w stanie to pohamować.

— Co takiego wydarzyło się na treningu?

— Trener musiał reanimować Marburry'ego, bo... — do sprzedawcy w okienku drive through: „Dzięki, stary, dorzucisz kilka serwetek?” i znów do mnie: — ...bo o mało się nie zabił, jak próbował powalić Ezrę.

— Skąd mu w ogóle przyszło do głowy, żeby tego próbować?

— Bo to pieprzony idiota. — Cas nie owijał w bawełnę, bo jednocześnie jadł, rozmawiał i prowadził samochód. — No

ale tak zupełnie serio, to jest po prostu wściekły, bo trener przesunął go do obrony, a Ezra dalej jest running backiem. — W jego tonie pojawiła się ponura nuta; coś, co tylko ja potrafiłam usłyszeć, bo bardzo długo się znaliśmy. — I też przez Puchar.

Wszyscy wiedzieli. Wszyscy wiedzieli. Jak gdyby nie wystarczało, że Ezra Lynley otrzymał tytuł All-American magazynu „Parade”, to jeszcze do tego został wybrany do wojskowej drużyny All-American Wschodniego Pucharu. Całe miasteczko bardzo przeżywało te wyróżnienia, i to do tego stopnia, że nie dało się pójść do publicznej toalety, żeby nie trafić na plakat ŚWIĘTUJ NASZEGO ALL-AMERICAN! na wewnętrznych drzwiach kabiny.

— Łapię — powiedziałam. — Chciał wykorzystać wyjątkową i niespodziewaną szansę.

Cas się zaśmiał. Moje słowa żywcem nawiązywały do hasła z plakatu — ŚWIĘTUJ NASZEGO ALL-AMERICAN! WYJĄTKOWA I NIESPODZIEWANA SZANSA DLA UCZNIA TS HIGH, EZRY LYNLEYA.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. Byłam pewna, że Cas w tym czasie zjadł kilka frytek. W końcu się jednak odezwał.

— Jak tam twój nowy brat?

— Nie mów tak o nim.

— Przecież tak jest.

— Czy to źle, że nie chcę spotykać się z nim w szkole? Bo wiesz, non stop widzę go w domu. Czy to czyni mnie złym człowiekiem?

— Dlaczego miałabyś być przez to złym człowiekiem?

— Nie wiem. — Chociaż wiedziałam. — Został porzucony przez matkę, więc rozumiesz...

— No i? Joe Perry też został porzucony przez matkę i, o ile dobrze pamiętam, sama powiedziałaś, że nigdy, nigdy nie widziałaś kogoś tak wkurzającego.

— Wcale nie...

— Wcale tak. I użyłaś dwa razy słowa nigdy. A dwa razy nigdy oznacza wkurzający do kwadratu.

— Rany, to chyba najbardziej nerdowska rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś.

— Nie zmieniał tematu. Nienawidzisz porzuconych dzieciaków i tyle.

— Nikogo nie nienawidzę! — Wiedziałam, że mnie prowokuje, ale zawsze dawałam się mu wkręcić. — Poza tym matka Joe'ego porzuciła go, kiedy był w drugiej klasie albo jakoś tak, jeśli to ma jakieś znaczenie.

— Absolutnie nie ma znaczenia, jak długo ktoś jest porzucony. Raz porzuci cię matka i na całe życie zostajesz porzuconym dzieckiem.

— Przestań mówić o porzuconych dzieciach!

— Ty zaczęłaś. — Słyszałam uśmiech w jego głosie. — Właśnie teraz przez tę rozmowę gdzieś na świecie zostaje porzucone jakieś dziecko.

— Nie mów takich rzeczy.

— A ty nie próbuj mnie cenzurować! Korzystam z wolności słowa i nie dam jej sobie odebrać!

— Lepiej już się zamknij — powiedziałam, walcząc ze śmiechem. — Bo zaraz wypadniesz z drogi.

— Już prawie jestem w domu.

— Głupio byłoby zginąć w wypadku dwie przecznice od domu, co?

— Takie słowa z ust dziewczyny, która nie chce powiedzieć „porzucone dziecko”!

— Foster nie został tak do końca porzucony — wyjaśniałam, poważniejąc. — On raczej został... odesłany.

— Czy to coś zmienia w jego sytuacji?

— Może. Ona ma się po niego zgłosić.

— No pewnie — mruknął Cas.

Nie byłam pewna, czy któreś z nas w to wierzy.